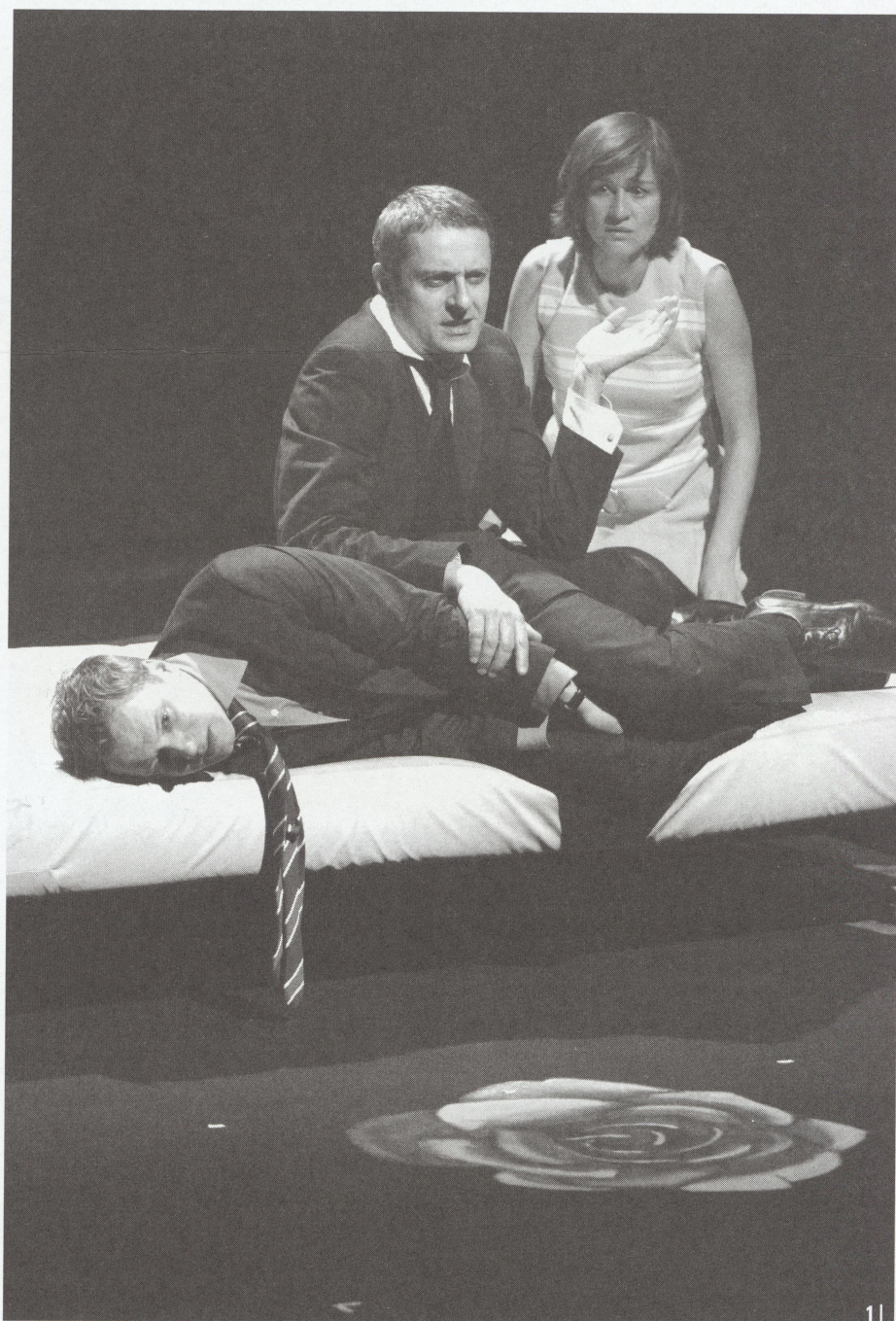


Harper Pitt: subtelna ekologia urojeń

Patryk Czaplicki



Świat się wypala. Nad Antarktydą dziura ozonowa. Poparzenia skóry, ślepnące ptaki, topniejące góry lodowe. A w piekarniku węgla się kolacja dla męża kryptogeja. Marzenia już spopielaly, teraz żarzą się halucynacje. Okaleczone anioły rozbijają się o ziemię, a dobry Bóg nie ma ochoty na rozmowę w cztery oczy. Skoro ciało jest ogrodem duszy, nie dziwnego, że rosną w nim chwasty. Zbliża się trzecie milenium, nadchodzi apokalipsa. A jeśli paruzja w wykonaniu gejowskiego Chrystusa nie zagwarantuje nowego ładu? Czy aby Eskimosi są na to przygotowani? Bez Eskimosa nie ma szans na porządne wakacje. Od valium i od skłamanego życia. Mieć w płucach kryształki lodu, smakować śnieg o zapachu mrożonej brzoskwini! Odlecieć stąd, przebić się przez tropopauzę do siatki molekuł trójatomowego tlenu i wylądować bezpiecznie w San Francisco. Odetchnąć wreszcie pełną piersią! Nie jedną, oboma! Wszystkimi cyckami świata! Trzeba wreszcie zacząć kręcić te egzystencjalne lody... Podobno mormonki też mogą robić laskę. Nie, tym razem to nie przeblask ilumi-

nacji. Naprawdę! Mówili o tym w radio...

Niełatwo jest zbliżyć się do Harper Pitt i uporządkować gmatwaninę powodujących ją motywów i emocji. Nawet za pomocą efektownej literackiej impresji. Wbrew pozorom, Harper Pitt, choć kreślona grubą kreską, jest postacią niejednoznaczną. Jako konstrukt dramaturgiczny ciąży w kilku kierunkach: rubasznej groteskowości, dojmującego dramatyzmu, pretensjonalnej dosadności. Nie sposób rozstrzygnąć, który z tych czynników jest dominujący. Kompleksowa analiza rozpełzać się więc musi w bardzo różne strony i zdaje się, że próba scalenia skazana jest na niepowodzenie. Niemniej jednak istnieje pewien inwariant, dzięki któremu analityczny „sąd” nad postacią jest możliwy. Harper

Pitt, inaczej niż wszystkie pozostałe osoby „Aniołów w Ameryce” Tony’ego Kushnera, jest jak bardzo wdzięczny oksymoron. Cała jej rzeczywistość rozpada się na dwie, wzajemnie się kontrapunktujące i dopełniające części. Aktorskie odzwierciedlenie takiego złamania jest rzeczą stosunkowo łatwą, ale już stworzenie spójnego rysunku postaci opartej na przeciwieństwach i wiarogodne wpisanie go w kontekst innych obecnych na scenie kreacji jest sztuką, która udaje się niewielu aktorom. Tym bardziej godna szacunku i podziwu jest rola Mai Ostaszewskiej jako Harper Pitt w spektaklu Krzysztofa Warlikowskiego. Rola, która nie tylko w pełni wyzyskuje potencjał zapisany w dramacie, ale także w ujmujący sposób komentuje kluczowy

paradoks sztuki aktorskiej. Rola naprzemiennie ukrywająca i ujawniająca to odtwórcze przeżywanie, które sama realizuje.

Kim jest Harper Pitt w „gejowskiej fantazji na motywach narodowych” Kushnera? Niby stoi na bocznicach, ale jakoś dziwnie pcha się na główne tory dramatu. Jest stłamszoną, zakompleksioną, wygłodniałą seksualnie młodą żoną, dość pokracznie dążącą do osobistej emancypacji. Kruchą i załęczoną, ale także pewną siebie dziewczyną, która zmuszona jest stawiać czoła zakłamaniu i miłości niemożliwej. Nieprawdopodobnie wrażliwą kobietą czerpiącą wiedzę o życiu raczej z rozbuchanych halucynacji niż z osaczającej ją codzienności. Harper Pitt ma agorafobię. Oznacza to też, że boi się rzeczywistości i bardzo



trudno będzie jej rozwinąć skrzydła w przeszerzeniu „prawdziwego”, harmonijnego życia. Jest zatem nie tylko dziwnym wcieleniem amerykańskiej *housewife*, ale też newralgicznym punktem, w którym zbiegają się tęsknoty i fobie czasu światopoglądowego przesilenia.

A jaką funkcję pełni Harper Pitt w strukturze dramatu? Czy jest tylko jedną z wielu równoprawnych składowych epickiego dzieła? Zdaje się, że zajmuje w nim pozycję uprzywilejowaną. Jest papierkiem lakmusowym, który przyłożony do poszczególnych wątków na zmianę obnaża ich miałość i głębię. Niestety, jakby wbrew intencjom spektaklu – ale z pożytkiem dla samej postaci Harper i pracy Mai Ostaszewskiej – widać to bardzo wyraźnie w warszawskiej inscenizacji. Zwłaszcza na przykładzie Priora Waltera, chorego na AIDS gejowskiego wybrańca, który ma przynieść światu zbawienie. Jego cierpienie, tak bardzo uzewnętrzniane przez Tomasza Tyndyka, pomimo wypłutych i wykrzyczanych emocji nie poraża tak bardzo, jak powinno. Co więcej, w wielu scenach sprowadza dramat do poziomu banalnego wołania o zmiłowanie nad niesłusznie pokrzywdzonymi. A „smutnej nici porozumienia”, jaka ma łączyć Harper i Priora, nie da się wysnuć z egzaltacji. Powściągliwość aktorska silniej przemawia do wyobraźni i ludzkich sumień niż emocjonalne bebeczy. Maja Ostaszewska świetnie zdaje sobie z tego sprawę i robi z tej wiedzy użytek.

Najbardziej efektownymi scenami z udziałem Harper są epizody podbiegunowe. Ociekające się o kampf, świetnie steatralizowane, fantasmagoryczne emanacje „odmiennych stanów świadomości”. Sztuczny śnieg padający na zdobiony różami dywan, puszczona w ruch lustrzana tafla tylnej ścia-

ny sceny i powolnie stąpająca Harper okutana w srebrny kombinezon astronauty, wyrażająca zachwyt nad urojonym, pięknym i wolnym od problemów królestwem lodu. Albo Harper stojąca nieruchomo i wgrzająca się w nogę od krzesła znalezionej w wielkim polarnym sosnowym lesie, przyłapana w swojej halucynacji przez męża, który naszedł ją tylko po to, by oznajmić, że przeżywa homoerotyczną „przygodę”. Kiedy Joe zaprzecza, jakoby jej już nie kochał, Harper z całych sił wyrzuca z siebie: „To wróć do mnie!”. Jest to jedyny moment, w którym pozwala sobie na krzyk.

Duet Harper-Ostaszewska
jest wyjątkowy,
bo pozwala obcować
z aktorstwem prowokacyjnie
dwuznacznym,
momentami przerysowanym,
momentami introwertycznym

To właśnie głównie w scenach wizyjnych Maja Ostaszewska świetnie uzmysławia widzowi, jak Harper uwikłana we własne neurozy balansuje między fantazyjnym „tu i teraz” a bolesnym „tam i wtedy”. Bez cienia fałszywego gestu, za to z ogromnym ładunkiem emocjonalnym skrywanym gdzieś wewnątrz siebie. Zaprasza widza na chwilę do wnętrza postaci, do samego środka bólu, a po chwili, zrywając tonację, wynosi go gdzieś ponad ziemię. Także za sprawą umiejętnego cieniowania dowcipów. Kiedy mówi, że gdy urodzi dziewczynkę pokrytą grubym białym futrem (żeby nie było jej zimno), to jej piersi wypełnią się gorącym kakao, (które będzie ją rozgrzewać od środka), śmiejemy się do siebie, ale także uśmiechamy się do Harper, bo właśnie podzieliła się z nami jedynym ze swoich pragnień.

Jest w zespoleniu Harper-Ostaszewska to rzadko spotykane światoodczucie, które łączy niemożliwe z możliwym, praktykę z utopią, afirmację życia z jawną z niego kpina. Ten duet jest wyjątkowy,

bo pozwala obcować z aktorstwem prowokacyjnie dwuznacznym, momentami przerysowanym, momentami introwertycznym, a przez to drażliwym i absolutnie porywającym. Jest wyjątkowy, bo wciąga do rozmowy.

Na rolę Harper Pitt w wykonaniu Ostaszewskiej składa się cała gama skrajnych, często wykluczających się gestów i postaw. Dając czasem o sobie znać rozrzutność środków wyrazu zderza się u niej z samolubną potrzebą, by jakąś część postaci zachować tylko i wyłącznie dla siebie. By ze skorupy aktorskiego *emploi* wyluskiwać tylko te elementy, które w danej chwili są absolutnie niezbędne. Potrafi ona wykipić paraliżujący strach, obnażyć słabości Harper, a potem jednym gestem, spojrzeniem, załamaniem głosu skasować buńczuczne zapędy i roztoczyć przed widzami krajobraz w czasie bitwy, beznadziejną panoramę emocji i uczuć przewalających się po poboju psychiki.

Ta rola ma jeszcze jedną zaletę. W jakiś kongenialny, nie do końca uchwytny sposób oświetla dwie – jakby niedoświetlone przez Krzysztofa Warlikowskiego – twarze „Aniołów w Ameryce”. Pięknego spektaklu misyjnego, spektaklu o ambicjach uniwersalistycznych, w którym aniołom – homo- i heteroseksualnym, ziemskim i nieziemskim – nie wiadomo dlaczego podcięto skrzydła. Jeśli w warszawskich „Aniołach w Ameryce” obecna jest jakaś angelologia, to tylko za sprawą Harper-Ostaszewskiej. Ten dwu głos, którego osią jest wrażliwość aktorki oddającej „subtelny ekologiczny urojen” odgrywanej postaci, wydobywa ze spektaklu paradoksalną prawdę, której nie potrafią oddać wszystkie wątki gejowskiej martyrologii razem wzięte. Miłość jest – na nasze nieszczęście – wszystkim, co mamy. I jest też miłość – na szczęście – wszystkim, czego nam brakuje. Jak to dokładnie szło? Zaczyna się wielka praca... ■

1 | Jacek Poniedziałek (Louis Ironson), Maja Ostaszewska (Harper Pitt), leży Maciej Stuhr (Joe Pitt); „Anioły w Ameryce” Tony’ego Kushnera, reż. Krzysztof Warlikowski, TR Warszawa (2007); fot. Krzysztof Bieliński

2 | Maja Ostaszewska (Harper Pitt), Maciej Stuhr (Joe Pitt); „Anioły w Ameryce” Tony’ego Kushnera, reż. Krzysztof Warlikowski, TR Warszawa (2007); fot. Krzysztof Bieliński

Patryk Czaplicki – student teatrologii na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.